



Teodor
Chrząński pinx.

Ryc. 27.

Z Gabinetu Rycin Uniwersytetu Warszawskiego.
RATUSZ W SZYDŁOWCU.

(Widoki zabytków starożytności i t. d... K. Stronczyńskiego. Atlas II, ryc. 15).

...Samo nazwisko tego miasta wskazuje, komu początek swój winno. Lokacją onego nadał w r. 1427 król Władysław Jagiello na prośbę Sławosza i Jakóba Szydłowickich. Zatwierdził ją później w r. 1470 król Kazimierz Jagiellończyk, pozwalając zarazem miastu Niemieckiem prawem się rządzić. Zygmunt I przywilejem z r. 1508 nadał mu targi tygodniowe; Zygmunt August w r. 1550 uwolnił jego mieszkańców od opłaty cła w kraju; Stefan w r. 1578 prawo Magdeburgskie dla tegoż miasta potwierdził, a Zygmunt III w r. 1589 — 5 dorocznych jarmarków w niem ustanowił.

Okolo tego czasu Szydłowiec przeszedł na dziedzictwo książąt Radziwiłłów i wtedy Mikołaj i Krzysztof Radziwiłłowie nową onemu lokacją nadali, którą Królowie Polscy Władysław IV w r. 1633, Jan III w 1676, a August II 1698 potwierdzili. Do praw i wolności przez powyższych Monarchów nadanych, Król August III przywilejem z r. 1757 — 4 jarmarki jeszcze dodał.

Obecnie miasto Szydłowiec jest własnością Rządu skutkiem zamiany na inne dobra z ostatnią prywatną onego dziedziczką, Księżną Sapieżyną, uczynionej.

W mieście tem następujące znajdują się starożytne budowle:

Zamek. Zbudowany w roku 1629 na wyspie wśród pięknego niegdyś angielskiego ogrodu i kanałem otoczony dokoła, winien swoje założenie Wojciechowi Władysławowi Radziwiłłowi, podówczas kasztelanowi Trockiemu. Wystawiony jest w czworogran w stylu włoskim nowszym, z dosyć szczupłym wewnątrz dziedzińcem. Prowodzi do niego brama w wieży umieszczona. Nad głównymi drzwiami w dziedzińcu widać z kamienia wydlutowany herb książąt Radziwiłłów, a pod nim tablicę z napisem:

Albertus Vladislaus Radzivil Dei gratia dux in Olica et Nieswiez S. R. Imp. comes in Schidlowiec et Mhir Castellanus Trocensis capitaneus Szereszowiensis A. D. 1629...

Ratusz starożytny włoskiej budowy z krytym dachem i wieżą, wiekiem przynajmniej od zamku jest dawniejszy. Zniszczony przechodami wojska w czasie kampanji Księstwa Warszawskiego, wyrestaurowany został w r. 1829 i dziś mieści w sobie Magistrat i Okręgowy Sąd Pokoju. Jest to budowla piękna, pod względem stylu budowniczego osobliwa, i dobrze dochowana, stanowi jedną z główniejszych ozdób miasta Szydłowca...

(»Opisy Zabytków Starożytności w gubernji radomskiej przez Delegację wyslaną z polecenia Rady Administracyjnej Królestwa w latach 1844 i 1846 zebrane, rysunkami w dwóch osobnych atlasach zawartemi objaśnione«. 1850. Tom I, str. 301 — 306).

Myśli i problemy, w niniejszym artykule poruszone, wiążą się bezpośrednio z wystawą grafiki, którą urządził Oddział Poznański Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w Muzeum Wielkopolskiem p. t. »Dawna Polska w grafice«. Nasunęły się one w czasie organizowania wymienionej wystawy, jako uwagi na marginesie, i mają może tylko wartość przemijającą, jak »remarques« na płytach akwaforcyjnych, służące do kontrolowania trawienia płyt miedzianych. Niemniej jednak są owe »remarques« bardzo cenione przez znawców i łowców »pierwszych odbitek«.

Tytuł owej wystawy jest zbyt szeroko pojęty, a nawet nieścisły; nie chodzi bowiem o wystawę map Polski w dawnych swych rozmiarach terytorjalnych, lecz o pokaz rycin, ilustrujących dawne życie polskie na obszarze Polski — dzisiejszej. Wątpliwości tego rodzaju usuwa w tym wypadku w zupełności plakat z narysowaną na nim, czerwoną linią, mapą Polski dzisiejszej, oraz wiadomość, że wystawę tę przygotowało Towarzystwo Krajoznawcze, Oddział Poznański. Ono też nadało tej imprezie muzealnej specyficzny swój charakter, popularyzatorsko-dydaktyczny.

Szerzenie wiedzy o Polsce, o jej miastach i mia-

steczkach, zamkach i pałacach, o zwyczajach i barwnych strojach ludu polskiego — za pośrednictwem starej grafiki, ten pomysł jest tak kapitalny, że od razu powstaje w nas pytanie, dlaczego Towarzystwo Krajoznawcze nie zorganizowało już dawno wystawy o tejże tendencji, posługując się przytem — nowoczesną grafiką? Do dręczącej tej sprawy jeszcze powrócimy, tu pragniemy tylko podnieść, że właściwie dobrze się stało, że w pierw zorganizowano wystawę »retrospektywną«. Lepiej bowiem niż długie referaty o konieczności propagandy krajoznawczej i turystycznej, dowodzi właśnie ta wystawa, jaką ważną rolę w minionych wiekach, zwłaszcza na przełomie XVIII i XIX stulecia, odgrywała grafika, obca i polska, w tym to kierunku propagandowym.

Złudzeniem jest mniemanie, jakoby »fotografika« (?) mogła tutaj, jako »nowoczesny« środek propagandowy, wyręczyć sztukę, jakoby odbitka fotograficzna mogła zastąpić dzieło graficzne artysty. Doświadczenie uczy nas prawie codziennie, że każda fotografia, nawet najbardziej »artystyczna« (a właściwie naśladowująca tylko walory artystyczne dzieła graficznego) i najbardziej »efektowna«, widziana po raz drugi i trzeci, staje się nudną. Fotografia posiada wartość



Ryc. 28.

Zakopane w r. 1820 (w głębi Kuźnice) — Litografia kolorowana z albumu Kronbacha.

naukową jako dokument, dla krajoznawcy zaś jest ona w najlepszym razie czemś w rodzaju »miałej pamiątki« po odbytej wycieczce. Niestety, jest to tak, a inaczej być nie może, bo stosunek krajoznawcy do zabytków sztuki i architektury, do folkloru, do krajobrazu, do natury powinien być inny, niż historyka sztuki i konserwatora zabytków, etnologa, geografa i przyrodnika. Krajoznawstwo nie jest dziedziną nauki, lecz — ruchem społecznym, wypływającym »z uczucia, potrzeb umysłowych i gotowości do czynu«, jak brzmi uchwała pierwszego ogólnopolskiego kongresu krajoznawczego w Poznaniu, odbytego 12—13 lipca 1929 r. Co dzieli krajoznawcę od naukowca, od konserwatora zabytków, etnologa, geologa i przyrodnika, a co go na równej linii stawia z artystą, to uczucie jego stosunek do świata zjawisk, to entuzjazm i radość w odkrywaniu »piękna« wokół nas. Krajoznawstwo, to bynajmniej nietylko popularyzowanie wiedzy o kraju; jest ono bowiem akumulatorem duchowych sił, zawiera elementy twórcze i może każdej chwili współzawodniczyć ze sztuką w odkrywaniu nowych wartości »piękna«, w odkrywaniu dotąd »nieodkrytych« tajemnic naszych rzek i lasów, ubogich, szarych równin naszej przez naturę poniekąd upośledzonej ojczyzny.

Wystawa poznańska, pierwsza z tego rodzaju wystaw »krajoznawczych«, daje nam doskona-

ły — mimo rażących braków — przegląd historyczny i resumé wysiłków poprzednich pokoleń w kierunku popularyzacji wiedzy o Polsce, jako o kraju bogatym w zabytki pięknej architektury i odrębnym pod względem kultury. Pomijam tu owe wielkie, bogato ilustrowane dzieła kosmograficzne, jak »Kronikę świata« Hartmanna Schedel'a (z r. 1493), »Kosmografję« Sebastjana Münstera, »Civitates orbis terrarum« Brauna i Hogenberga. »Schatzkästlein« Daniela Meissnera, bo są to wydawnictwa obce, niemieckie. Tej grupie dzieł, powstałych w okresie średniowiecznym lub renesansowym i zawierających tylko kilka widoków lub planów miast polskich, przeciwstawiamy dzieła, traktujące wyłącznie o Polsce, wydane pozatem przez Polaków. Oczywiście pochodzą one z czasów o wiele późniejszych, z wieku dziewiętnastego. Są to »Album widoków historycznych Polski« Napoleona Ordy (z lat 1873—1883), »Wspomnienia Wielkopolski« Edwarda hr. Raczyńskiego (z roku 1842), dalej trzytomowe, stalorytami bogato ozdobione dzieło Leonarda Chodźki p. t. »La Pologne Historique etc.« (1835—1842); wreszcie można tu wymienić t. zw. »Album Kielesińskiego«, po śmierci tegoż artysty wydany w Poznaniu u Żupańskiego. Oprócz tych wydawnictw, mniej lub więcej monumentalnych, ilustracjami swemi odnoszących się do całego obszaru dawnej Rzeczypospolitej Polskiej lub do

Ryc. 29.



Dolina Kościeliska w r. 1820 — Litografja kolorowana z albumu Kronbacha.

pewnego tylko terenu, posiadamy liczne monograficznie ujęte albumy poszczególnych miast polskich z widokami najciekawszych i najpiękniejszych gmachów, kościołów, ulic i placów (np. album wileński, album kaliski, widoki Poznania Minutoliego, widoki Warszawy Fryd. Krzysztofa Dietricha, widoki miast kresowych Michała Podolińskiego, »Album różnych widoków z Polski« z lit. Pillera we Lwowie, »Album widoków Krakowa i jego okolic« z lit. M. Salba w Krakowie, »Widoki miasta Krakowa i jego okolic, z natury rysowane przez J. N. Głowackiego«, wreszcie dzieło F. Stroobanta o pięknej architekturze krakowskiej).

»La Pologne Pittoresque«, »das malerische Polen« na przełomie XVIII i XIX wieku, oto właściwszy temat graficznej wystawy »krajoznawczej«, ta Polska, która przyciągała wtedy licznych podróżników i artystów-obcokrajowców, którym — bądźmy szczerzy — właściwie zawdzięczamy odkrycie pięknych zakątków naszego kraju i etnicznej odrębności jej mieszkańców, od Norblina począwszy. Polskie miasta i miasteczka, zamki i ruiny, pałace i dwory, klasztory i kalwarje, wszystkie te atrakcje kraju — za pośrednictwem sztuki graficznej osiągnęły rozgłos na Zachodzie. J. Z. Frey z Wiednia (1777—1829) wykonał piękne akwaforty — widoki miast i miasteczek, zwaliska ruin, kościoły gotyckie, dwory wielkopańskie — według rysunków Zygmunta Vogla do jego wielkiego dzieła: »Podróż malarska po Polsce«; Karol Aug. Richter z Drezna (1778—1848) wykonał liczne widoki z Polski według rysunków brata swego, Józefa, stale przebywającego w Polsce. Epoka, w której liczne te akwaforty, akwaforty i litografje powstały, wycisnęła na nich wyraźnie swe piętno artystyczne, interpretując zabytki architektury, zamki i rezydencje, place i ulice po swojemu, w duchu romantyzmu. Malowniczość tych historycznych zakątków, malowniczość ruin potęguje w tymże duchu ujmowana przyroda.

Wówczas jeszcze nie był »odkryty« krajobraz polski, typowość jego charakteru, jego cech lokalnych. Niemniej jednak dotarły już rychło do Zachodu wiadomości o pewnych osobliwościach natury, o grotach i jaskiniach, o okazach fauny, już dawno niespotykanej na Zachodzie, o turach, żubrach, łosiach, rysiach i t. p. Wystarczy tu wspomnieć o rycinach, mających ja-

ko temat kopalnię soli w Wieliczce, jedną z największych ówczesnych atrakcyj w Polsce. (Jest ich sporo; wymienimy 4 plany Wieliczki, sztychowane przez Wilhelma Hondiusa według rysunków geometry Marcina Germana z r. 1638, z małymi widoczkami, przedstawiającymi różne roboty kopalniane, »Delincatio salisfondinae Wielicensis«, dalej miedzioryty, przedstawiające widok żup wielickich w przekroju, np. G. Borlacha z r. 1723, J. E. Nilsona według rysunku B. Müllera, Langera, według Stachowicza, wreszcie staloryt Adama Pilińskiego, również według Stachowicza, a w końcu tekę litograficzną z widokami sal i kaplic podziemnych w Wieliczce, według rysunków Jana i Ludwika Hrdinów, wydaną w Wiedniu).

O ile chodzi o pejzaż polski, odtwarzany w duchu realistycznym, bez architektury lub sztafażu, to takich rycin nie posiadamy wcale lub też bardzo mało. Moglibyśmy tu wymienić 13 rycin już wymienionego Freya do dzieła o ogrodach X. Izabeli Czartoryskiej (Wrocław, 1805) »Zbiór widoków celniejszych ogrodów w Polsce«, dalej albumowe wydania, jak »Widoki okolic Krakowa«, zdjęte z mogiły Kościuszki przez Bogusza Stęczyńskiego (Lwów, 1852, lit. M. Jabłońskiego), »Truskawiec. Kąpiele na Podgórzu Karpackiem« (Lwów, 1854, lit. Pillera), wreszcie »Album Szczawnickie«, czyli nabrzeża górnego Dunajca, w 24 widokach, rysowanych z natury przez J. Szalaja (Kraków, 1858). Wiemy, jak późno »odkryte« zostało »piękno« krajobrazu poleskiego lub puszczy białowieskiej lub — borów tucholskich. A nasze Tatry?

Istnieje bardzo rzadkie wydawnictwo albumowe o Tatrach, stosunkowo stare, bo pochodzące z r. 1820. Jest niem album E. Kronbacha z Sanoka, zatytułowany: »Mahlerische Reise durch die Tatra und den Sanderer Kreis«, zawierające 20 tablic kolorowanych litografij oraz 62 strony tekstu o charakterze naukowo-krajoznawczym¹. Wiemy, z jakim zapalem, z jakim poświęceniem pracowali nasi malarze, poeci i taternicy w ostatnich dziesiątkach minionego stulecia, by budzić w sercach naszych ojców zrozumienie dla piękna naszych Tatr, by utorować nam, młodym, drogę na ich szczyty. Posiadamy z tego okresu niezliczone obrazki, po-

¹ W posiadaniu p. F. Kalksteina w Poznaniu. Por. Estreicher, Bibliografja polska, XIX w., p. 494.

święcone góróm i życiu górali, w naszych starych czasopismach ilustrowanych. W r. 1891 wydał Stanisław Witkiewicz, jeden z najgorliwszych propagatorów Zakopanego i Zakopiańszczyzny, swoje »wrażenia i obrazy Tatr« w książce p. t. »Na przełęczy«, z 135 drzeworytami. Lecz dopiero z r. 1904 pochodzi pierwsza polska teka graficzna o Tatrach, dzieło Walego Eljasza Radzikowskiego, p. t. »Studja z Tatr«, zawierające 12 akwafort. Poprzednio tenże artysta wydał »Przewodnik po Tatrach«, ilustrowany akwafortami.

Na tem kończymy nasz, z konieczności w najogólniejszych zarysach ujęty, przegląd materiału graficznego w postaci albumowych wydań, który służyć może jako trzon wystawy »retrospektywnej« w rodzaju wystawy poznańskiej, pod hasłem: »Piękna Polska — Polska Krajoznawcza — w grafice«.

Może więcej niż wystawa poznańska, której tendencja »krajoznawcza« wypaczona została przez niezbyt staranną selekcję rycin, dają zebrane w tym artykule wiadomości podstaw do katalogowego opracowania odnośnego materiału »krajoznawczego« z dziedziny grafiki. W przeświadczeniu, że nawet skromny ten początek przydać się może, należy tylko żywić nadzieję, by taka wystawa »krajoznawcza« została zorganizowana kiedyś w Warszawie. Wysiłek ten przyniósłby, jak sądzimy, korzyści zarówno polskiemu krajoznawstwu, jak i historii grafiki

polskiej XIX stulecia, bardzo zaniedbanej i zaledwie fragmentarycznie opracowanej.

Oprócz części »krajoznawczej« posiada wystawa poznańska także część »ludoznawczą«, poświęconą dawnemu życiu w Polsce, zwyczajom i wierzeniom, oraz strojom ludu polskiego w dawnych czasach. Ponieważ materiał »ilustracyjny« jest tu bardzo bogaty i nadaje się do urządzenia odrębnej wystawy »ludoznawczej«, pomijamy go w niniejszym artykule.

Ruch krajoznawczy w Polsce, wielce zasłużony i pelen żywotności, ma przed sobą ogromne zadania popularyzatorsko-propagandowe, lecz możliwości działania są zazwyczaj ograniczone do wygłaszania odczytów, wyświetlania filmów i urządzania wycieczek, lub t. p. Tu zaś wyłaniają się nowe możliwości propagandowe i nowe, bardzo wdzięczne zadania: mamy na myśli zawarcie paktu z naszą sztuką graficzną, z naszymi artystami-grafikami i z miłośnikami grafiki polskiej, w kraju i zagranicą. Zadania te streścić można w trzech punktach: (1) propaganda »krajoznawcza« zapomocą wysoko wartościowej grafiki; (2) skoordynowanie wysiłków artystów-grafików, wydających »albumy widoków miast«, t. j. ustalenie programu dla opracowania np. »Teki tatrzańskiej«, »Teki kaszubskiej«, »Teki morskiej« i t. p.; (3) pomoc dla artystów-grafików przez subskrypcyjną sprzedaż ich prac, przez ułatwienie im pobytu w danych regionach i t. d.

ALFRED BROSIG

ZE STAROPOLSKIEJ POEZJI WIŚLANEJ

Poetyckie spojrzenie na piękność przyrody i umiejętność odtworzenia jej piękna w dźwięcznym słowie pojawia się w Polsce, podobnie zresztą jak i poza Polską, dość późno, dopiero w w. XVIII, by do szczytu dojść w poezji romantycznej. Oczywiście, że ten czy ów poeta czasów dawniejszych na czar przyrody reagował żywiej, zjawiska jednak takie były dość wyjątkowe. Co ważniejsza, poeci w. XVI i XVII spoglądali na przyrodę z »gospodarskiego« punktu widzenia, zwracali uwagę przedewszystkiem na to, co za korzyści przynosi ona człowiekowi, stąd dla nas, wychowanych w atmosferze bezinteresownego jej kultu, owe głosy przeszłości dźwięczą zazwyczaj aż nadto pro-

zaicznie. Wyjątki jednak były, i to zarówno wśród ludzi, jak wśród tematów. Byli więc poeci, którzy na widok pięknego pejzażu, zwłaszcza puszczańskiego, odczuwali prawdziwe wzruszenie, i były tematy, które nawet do ogółu przemawiały bardzo wymownie.

Do tematów tych należały przedewszystkiem wrażenia, związane z obserwacją »królowej rzek polskich«, Wisły. Jak dowodzi piękne studjum p. W. Borowego o »Wiśle w poezji polskiej« (niedawno przedrukowane w tomie szkiców p. t. »Kamienne Rękawiczki«), poezja wiślana kwitnęła w Polsce od średniowiecza, hołd Wiśle oddawali wielcy i mali, zachwycając się jej pięknnością, pełni uznania dla jej roli w życiu

polkiem. Od Reja po Wyspiańskiego i Żeromskiego w wielogłosym chórze przewijają się motywy znane i ograne, i motywy nowe i świeże.

W chórze tym chronologicznie przodują »rymarze« czasów jagiellońskich: Rej, Kochanowski, Klonowicz. Niestety, poezji w tem, co prawią o Wiśle, jest mało, tem bardziej, że ten z nich, który był prawdziwym poetą, Kochanowski, o Wiśle mówi mało i ogólnikowo. Ton zresztą, dla wspomnianego poprzednio stanowiska tak znamienity, ton utylitaryzmu ekonomicznego, nadaje tu Rej, przypominający »miłej Wiśle« jej rolę gospodarczą:

Płyńże, ma miła Wisło, do portu gdańskiego,
A ratuj wždy, czem możesz, Królestwa Polskiego.

Owe głosy o Wiśle w poezji wieku złotego wzbogacić można dwiema nowemi pozycjami, dotąd niezauważonemi, kryją się one bowiem w starych druczkach-unikatach, rzadko oglądanych nawet przez zawodowych badaczy naszej dawnej literatury.

Pierwszy z nich, to »gęśl« uczonego poety toruńskiego, Jana Rybińskiego, w zbiorze »Gęśli różnorymnych księga I« (Toruń 1593), pieśń tem ciekawsza, że wydaje się jakby kartą z pamiętnika młodego poety, w południe, przy śpiewie ptaków nadbrzeżnych, przemawiającego do Wisły tonem, którego Rybiński nauczył się u swego mistrza, Kochanowskiego, a łączącym podziw dla rzeki z wątpliwą zresztą uczonością, podkreśloną sztaynami, a podówczas bardzo modnemi przymiotnikami złożonemi. Uczona ta szata nie przeszkadza jednak poecie widzieć tego, co się dokoła niego dzieje, i odczuwać piękno »pławaczki sarmackiej«.

Promem po zbożopławnej sztyrując Wiśle,
A k dąbrowie powoźne kierując dyśle,
Gdy Titan śród nieba stał właśnie w tej dobie,
Ptaszym grzmiotem ruszony, rzekłem sam w sobie:

O pławaczko sarmacka, polskich rzek głowo,
(K rzeczy-li k niemych rzeczom przemówić słowo?)
Dawnoćby Persa na twarz padł wielobogi,
I Saracen uzłocił brzegów twych rogi.

Ty żyta roznoziarne w morski brzeg toczysz,
A z wszystkokupnym kruszczem nazad k swym kroczysz,
Ty skutę, lichtan, baty i nawy rozne,
Trafty, komięgi dźwigasz, nigdy nie proznie.

Twój czyn, że więc przymorscy płużą Pruszanie,
W pławne spichrze wglądając: »drogo łaszt, panie!«;
Nadoł i wgorę wszelkie potrzeby wozisz,
Wszystkoś wszystkim, choć podczas sąsiadom grozisz.

Godnabyś, acz nie w czasie tym odnowionym,
Wieńcem zewsząd okrycia, wieńcem zielonym.
O pławaczko sarmacka, rzek polskich głowo,
Płyn swym Lachom bogato i na wiek zdrowo.

Wierszyk drugi, od poprzedniego o jakichś dwadzieścia lat późniejszy pojawił się w anonimowym zbiorze rymowanych fraszek, kursujących jako dziełko »Baltyzera z Kaliskiego powiatu« pod tytułem »Biesiady rokoszne«, a w epoce swej najwidoczniej bardzo popularnym. Otóż wśród tych fraszek wcale korzystnie wyróżnia się »Wisła«, pochwałą arterji handlowej, łączącej Polskę Zygmunta III z morzem, pokrytej mnóstwem statków wszelakich, wyladowanych dobrem rozmaitem (jest tu i glita, t. j. tlenek ołowiu), przyczem autor nie ogranicza się bynajmniej tylko do wystawiania strony ekonomicznej »rokosznej Wisły«, ale z dumą spogląda na nią, jako na wyraz wielkości i bogactwa Państwa Polskiego. Dowodem tego wymownym jest zakończenie, wyrażające tę samą myśl, która w w. XIX będzie rozbrzmiewała w poezji wiślanej, a którą tak gorąco propaguje się dzisiaj, myśl o ścisłym związku rzeki z terytorjum, przez które przepływa.

Oddajmy jednak głos staremu poecie, niech mówi wprost od siebie:

WISŁA.

Rokoszna Wisło, ty nam Polskę zdobiesz,
Przez kilkaset lat pilnie na nią robisz.
Jak jedno lodu poginą ostatki,
Wnet cię okryją rozmaite statki.

Wyjadą czołny, wyjadą i lodzie,
Kozy i byki idą po twej wodzie,
Idą półszkutki, idzie drzewo srogie,
Idą komiegi, w nich towary drogic,
Siarka, saletra, olów, miedz i glita:
Od tych do skarbu idą wielkie myta,
A nad to wszystko idzie sol obfita,
Ktorej w potrawach wszystka Polska syta.

Idą i szkuty, napelnione zboża
Rozmaitego, do samego morza;
Więc z puszczy litewskich wańczosy, popioły,
Konopi, klepek pełne statki, smoly.

Rzekić przynoszą i okwitość pierza,
Wszystkać Korona skarbow sie swych zwierza,
A nuż przewozy, co czynią do tego,
Młyny, rybitwi — skąd wiele dobrego.

Wszystko ty znosisz za pomocą bożą,
Co jednokolwiek na twe plecy włożą.
A też cię Polska pięknie uraczyła,
Na twoim brzegu koronę stawiła.

I jak długie są oba brzegi twoje,
Stawiła na nich piękne miasta swoje.
Tak cie miłuje i tak cie szanuje,
Rady koronne, sejmy odprawuje

Z krolem, panem swym.

Póki toczysz piany,
Twój związek z Polską nie uzna odmiany.
Służę jej wiernie bez wszelakiej szkody,
Niech na nią robią przecię twoje wody.

JULJAN KRZYŻANOWSKI

Dożynki zaczynają się od tradycyjnego wianka, witego i niesionego gromadnie do dworu z chóralnym śpiewem na staroświecką ludową nutę:

U nas siahonnia dażynoczki,
Daść nam Pan hareloczki...

Już zdaleka od żytniska rozlegają się głosy żniej, śpiewających monotennie i tęskliwie; zbliżają się, rosną i obwieszczają początek wieczornego obrzędu. Posiada on niezmiennie formy obyczajowe. Żnieje stają pod gankiem i śpiewają pieśń żniwną, mając pośrodku przodownicę z wiankiem na głowie, a po odśpiewaniu przodownica zbliża się do gospodarza i składa mu rytualne, również niezmiennie życzenia, prosząc, by przyjął »wieniec obfity, z bożego daru uwity«, poczem gospodarz własnoręcznie zdejmując ten wieniec z głowy dziewczyny i wywzajemnia się podziękowaniem i datkiem. Wówczas gromada odchodzi, intonując dalej swoją pieśń.

Prosta i uboga nuta żniwnej pieśni białoruskiej jest twarda, odarta z wdzięku uczonej harmonji, ale zato pełna surowej mocy i smętnej rezygna-

cji. Jest w niej żywiolowe poddanie się ziemi i naturze, jest przeciągła jednostajność, płynąca bezradośnie, jak szara chłopska dola, jak pochód pracowitych dni i lat wiejskiego bytowania. Ale jakże szeroko i donośnie ona płynie! Jaka w niej brzmi obrzędowa powaga i nieuchronność spraw ziemi i życia, nieledwie religijna! A po każdej odśpiewanej zwrotce chór podchwytuje i wyciąga ostatnią nutę, rzuca ją z wiatrem w przestrzeń długim, wibrującym pojęciem, który ścięle się po rżyskach, jak wieczorne westchnienie ziemi...

Plon niesiem, plon
Ze wszystkich stron...

Dziwna, wzruszająca pieśń. Obcy nie znajdzie w niej może nic, prócz krzykliwej monotonji. Ale gdy się jej słuchało przez całe życie, to się czuje w tym echowym refrenie coś mistycznego, zrodzonego z tajników gleby, jakiś symbol prawiecznego bytu rolnego i polnego. I przez nieuchwytną asocjację staje w oczach Ruszczykowski obraz »Dożynki«, odmienny treścią, ale pokrewny nastrojem pierwotności, budzący echa tej samej pieśni żniwnej. Błakają się one na schyłku letniej nocy pod namiotami widmo-

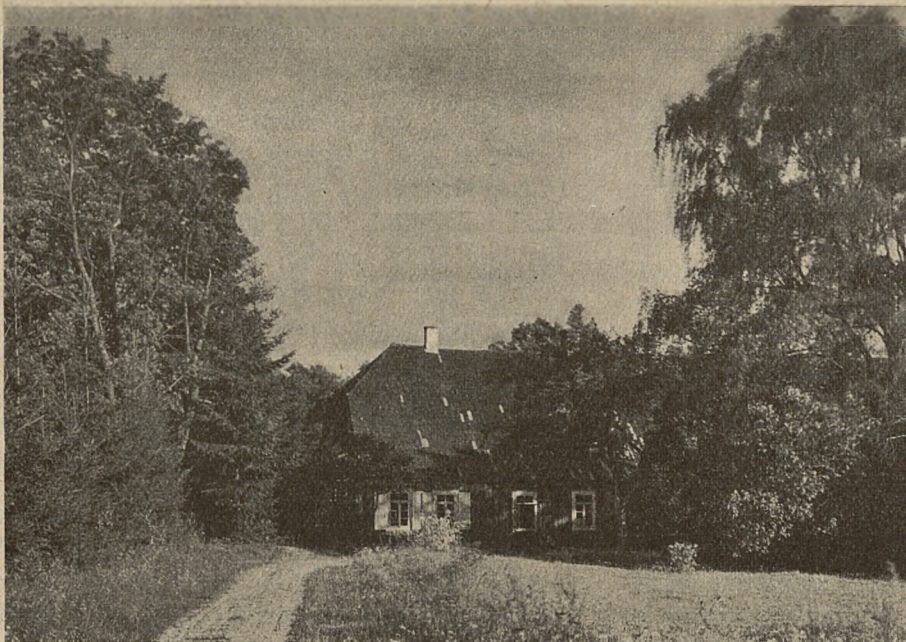
¹ Por. »Ziemia« Nr. 1 str. 10—14 i Nr. 2 str. 30—33.

Ryc. 30.



Fot. J. Bułhak.

Bohdanów. Aleja jodłowa.



Fot. J. Bulhak.

Bohdanów. Stary dom z r. 1690.

wych drzew na wzgórzu, gdzie uczujące pary rozsypały się wśród fosforycznych świateł i zastygły w jakimś obrzędowym urzeczeniu, a świątujące nad drzewami niebo patrzy na gody człowieka i ziemi.

Wieczorem jadalnia i kuchnia z przyległościami gromadzą około stu osób, w czym prawie połowę dzieci i młodzieży, i wszystko to mieści się pod dachem gościnnego domostwa. Oto już skończyła się kolacja z licznymi toastami, życzeniami i śpiewami, z nieodłącznym podrzucaniem w górę gospodarzy i rozbawiony tłum ciągnie ku śpichrzowi, przeistoczonemu w salę taneczną. Mieszają się z sobą dorośli i dzieci, panowie i służba, domownicy i sąsiedzi, wszystko postrojone, wesołe i gwarne. Drogę do śpichrza oświetlają mgławo kolorowe latarki, ustawione w trawie i migocące stamtąd, jak wielkie różowe i zielone świetliki. Ozdobnie umajony »świron« rozbłyska różnobarwną iluminacją, tętni ochoczą, piskliwą muzyczką wioskową i ledwie zmieścić może tańczących i widzów. Na ławie u wejścia zasiadł Ruszczyc i przygląda się skocznej polce, którą wywija jego najstarszy, Edzio, z jakąś zamaszystą dziewczuchą. Robi się tłoczno, duszno i wesoło. Przez otwarte wierzeje patrzy nocne niebo z czarnymi zarysami drzew i barwnie świecą jasne sukienki w pelganiu dogasających lampjonów.

Dziedziniec przeistacza się w teatralną scenę, której ludzie użyczyli świateł, a noc — drapeiryj i kulis. Światła są nikłe, ale dekoracje — bogate i fantastyczne. W głębi wywyższa się ciemna masa domu i rozbłyska jarzącymi oknami wnętrza, jak olbrzymia latarnia. Zewsząd dźwięczą niewidzialne głosy, donoszą się echa grające i śpiewające w mroku.

Po kłosku zbierali,
Do wianka zwiwali.
Nasz wianek obfity,
Z Bożego daru uwity...

Pieśń brzmi gdzieś zdala wspomnieniem popołudniowego wianka, który Ruszczyc zdjął z głowy żniei-przodownicy, a ze śpichrza odpowiada mu niemilkący rytm tanecznej muzyki, żałośnie zawodzą skrzypce, zanosi się harmonja rozlewnem, chrapliwem rechotaniem. Ścieżka, usiana świetlikami, łączy te dwa ogniska blasku i zgiełku, snują się po niej przyćmione grupy i postacie, to wynurzają się, to znów zapadają w nocny cień, jak senne zjawiska. Zaczyna się dzieć coś niezwykłego w tym nocnym teatrze bohdanowskim. Przeróżne momenty tego rozbawionego gwaru, tych nagłych rozświetlań i zniknięć, tych grających odgłosów, wtulone w ciepły mrok letni pod baldachimami drzewnych konarów, nabierają wyrazu obrzędowej tajemniczości, stają się samodzielniemi



Fot. J. Bulhak.

Bohdanów. Wzgórze za dworem. (Na prawo u góry — motyw Ruszczyckiej »Ziemi«).

zjawami jakiegoś zaczarowanego świata. Rzeczywistość ustępuje miejsca fantastycznej baśni nocnej, w której się przewija to scenerja ruszczyckiego obrazu dożynkowego, to zakłętą kołowanie podkrakowskiego »Wesela«; prawda i uluda tworzą jedną widzialność i jedną atmosferę, w którą wyobraźnia zatapia się z chętną bezwolą, by chłonąć dziwny czar tej sierpniowej nocy, wyiskrzzonej ogniami i gwiazdami, rozśpiewanej muzyką i świerszczów nieustannym skrzekotem...

* * *

Nazajutrz, przed odjazdem, idę na plebanję do proboszcza, a towarzyszy mi Ferdynand wraz z panią Giną i trojgiem starszych dzieci. Zdrowie Ferdynanda poprawiło się tak znacznie, że odbywa on bez większego zmęczenia dłuższe piesze wędrówki. Rzecz oczywista, że w Bohdanowie i kościół harmonizuje z całością i odznacza się malowniczą powagą. Lipy otaczają jego drewniane ściany i dosłownie otulają go swym zwieńczonym kręgiem, tworząc znowu architekturę, wzniesioną z żywego zielonego tworzywa. Cienisty, schludny kościółek jest przedmiotem troskliwej opieki obojga Ruszczykostwa. Pełny jaskółczego świergotu i lipowego szumu, ukrywa się całkowicie za drzewami i wygląda na zewnątrz tylko foremną wejściową dzwonicą.

Gdy powracamy od proboszcza, robi się wieczór i cienie lip ścielą się po ugorze długimi błękitnawymi smugami. Po obłoczystym i wietrznym dniu nastaje pogodne uciszenie i zachodzące słońce opromienia świat najpiękniejszym uśmiechem. Lekkie perłowe chmurki spływają ku widnokręgowi i tam rozpalają się złotymi obrzeżeniami. Różowy przestwór pól oddycha łaskawą ciszą, spogląda słodkim wejrzaniem kochanego oblicza.

Za chwilę mam odjechać. Idąc przodem, oglądam się na Ruszczyca, który przystanął dla odpoczynku. Prowadzą go pod rękę syn i córka, pani Gina za nimi zamyka pochód. Ostatnie promienie słońca podkreślają orli profil i srebrną głowę Ruszczyca, prześwietlają jasne postacie dwojga młodych. Te trzy złączone sylwety rysują się przedziwnie wzruszającym konturem na tle wieczornej zorzy, jakgdyby wzięły od niej całą jej łagodną promienistość. Idą znów po grudach ścieżki, stąpają ostrożnie, by się nie potknęły na nich ojcowskie nogi, a wydłużone cienie tych trojga stapiają się w kształt trójjedyny — w symbol ich mocnej rodzinnej spójni. Idą, zbliżają się już ku domowi, wchodzą w brzozy przysady. Ruszczyca pogodnym, dobrotnym spojrzeniem ogarnia swoją rodzinę, swój Bohdanów, cały świat różowej ciszy i serdecznego piękna. W tym powolnym, uroczy-

stym pochodzie dwóch pokoleń, rozświetlonych pożegnalną luną zachodu, jest coś z obrzędowego piękna dożynek, piastujących zbożny plon bohdanowskiej ziemi — wianek ciężkich, dojrzałych kłosów, pełnych złotego, żywiącego ziarna...

* * *

Idź długo jeszcze tą słoneczną ścieżką, Wielki

Żniwiarzu polskich kłosów i kwiatów, pracowniku boży, »trudzący się w sadzie, by drzewa zakwitły i owoc wydały, trudzący się w pasiece, by był wosk i miód«. Idź wsparty o młodość i nadzieję, dźwigający bogaty plon Twego pięknego życia, — wieniec »obfity, z bożego daru uwity«!...

JAN BULHAK

Bohdanów, w sierpniu 1934 roku.

LAPONJA, JEJ PRZYRODA I MIESZKAŃCY

W LEŚNEJ GŁUSZY.

Mknie, pędzony siłą wodospadów, elektryczny pociąg pośpieszny ze Stockholmu do Kiruny i granic północnej Norwegii. Wiążąc północ z południem, z wielką chyżością przebywa olbrzymie przestrzenie bezludnych, leśnych ostępów. Za Upsalą, koło stacji węzłowej Krylbo, krajobraz się zmienia, kończą się właściwe dla Szwecji południowej liściaste, przeważnie dębowe laski, a wyłączne władanie obejmuje świerk, sosna i brzoza. Kraj staje się pagórkowaty, zasypany głazami. Szerokie, zasobne w wodę rzeki przepływają coraz częściej przez wydłużone, ciemne, lustrzane tafle jezior, otoczone ciemnym murem lasu, pozbawione wszelkiej roślinności. Mijają godziny za godzinami, siła elektryczna zda się z coraz większym pośpiechem nagli pociąg w drodze na północ, a kraj, wokół leżący, nie zmienia się niemal wcale. Nie widać ludzkich osiedli. Tafle jeziorne i szerokie rzeki wypełnia często po brzegi ścięte budulcowe drzewo. Człowiek ukrywa się widać nad morzem i w głębi niekończących, zda się, borów. Niekiedy migają pola, owsem obsiane, mury kamienne otaczają je wokół; po wycięciu lasu kryły one ziemię, którą odłonił w trudzie rolnik, układając wokół spiętrzone zwały.

Las, jakby ten sam, dalej ku północy przeistacza się zwolna: sosny i świerki upodobniają się do siebie, maleją, smuklejąc jednocześnie, tracą szerokie, rozpostarte zazwyczaj gałęzie. Wolno widać wzrastają, bo drzew grubych niema tu wcale, wszystkie są równie cienkie, świecom podobne, gęsto pokryte zwieszającymi się porostami.

By poznać jednak las Szwecji północnej, stanowiący 60% obszaru tego wielkiego kraju, wejść trzeba do jego wnętrza, przejść po jego mszar-

nych kobiercach, spojrzeć na pulsujące w niem życie, zrozumieć związek jego z ziemią. Szlakiem jezior i rzek dostać się można do serca borów. Nie tchną życiem te wśród lasów zagubione wody; płynąc po granitowej płycie, nie unoszą do cichych jezior żyźnego namułu, głązy tylko otaczają ich pozbawione szuwarów porbrzeża. W miejscach mniej kamienistych rozsiadły się szerokim pasem wierzby w kilku gatunkach, nad nimi wznosi się gdzieśgdzie drżąca osiczyna lub czerwone jagody jarzębiny. Tam, gdzie wyższy, głazami usiany brzeg zstępuje w wodę, świerki wyniosłe zwartym murem przegładają się w ciemnym zwierciadle. Na dnie lasu panuje mrok, zawsze wilgotne, oślizgłe, zczerniałe, kopulaste głązy porasta zielony mech, a wokół, gdzie ziemi więcej, bujna, wysoka borówka zajmuje każdą piędź ziemi. Wciska się wszędzie, nieodłączna świerka towarzyska, zajmując niezmierzone obszary skandynawskiego boru. W miejscach wynioślejszych, a suchszych sosna zdobywa nad świerkiem przewagę, a wraz z nią prócz borówek wrzos dopomina się o prawo do życia. Brzoza coraz częściej pochyla festony drobnego listowia. Zdarza się, że prześwietlone dno sosnowego boru nie ma dość wilgoci, by utrzymać wrzosi, zaściela je wtedy chrząszczącym, popielatym kobiercem porost, najwytrzymalsze z istnień roślinnych.

Wysunięte daleko ku północy, wsparte o granitową opokę, na płytkiej warstwie gleby, lasy szwedzkie, ciężko zdobywają swoje prawo do życia. Rosną niezmiernie wolno. Na północy, w Laponji, sosna, dochodząc do 250 lat wieku, posiada zaledwie 45 cm. średnicy. Niewiele roślin może im towarzyszyć, za to te, które są, panują tu samowładnie. Wielkie przestrzenie leśne, posiadające w swoim runie jedną panującą

krzewinkę, zdarzają się bardzo często. Życie roślinne nie płynie tu bujną, różnorodną falą. Tam, gdzie na nieprzepuszczalnej skalnej opo-
ce gromadzą się stojące wody, las karleje i nik-
nie niemal zupełnie. W zdobywczym, tryumfal-
nym pochodzie wkracza na jałowe, pozbawione
wapna, podmokłe tereny, mech, torfowiec. Nie
mogą mu się oprzeć wyniosłe sosny: chłonie on
chciwie wodę i rośnie, rośnie wzwyz. Sosny,
choć stare wiekiem, pozostają dziecięco maleń-
kie, karzelki, z trudem przedłużające na trzęsa-
wisku swoje bytowanie. Mech zaborczy, za-
jąwszy zbiorniki wody stojącej, idzie dalej, za-
rasta dno starego boru, a za nim wkraczają je-
go towarzysze: bagno, wełnianki. Las zmienia
oblicze, staje się bardziej niedostępny, dzięki-
zwierzynie bliższy.

Obszary leśne Szwecji zajmują 246.000 kilome-
trów², stanowiąc bezcenne bogactwo tego kraju.
Wolny przyrost drzew na grubość sprawia, że
drewno to poszukiwane jest na wszystkich ryn-
kach świata.

Wcześniej, jesienią ścinają się lodem rzeki, je-
ziora i trzęsawiska, śnieg spowija lasy grubym
całunem. Ukończywszy prace na ubogich pól-
kach, położonych w dolinach i bliżej wybrzeża,
ciągną mieszkańcy z saniami w bory. W ma-
łych, skleconych z drzewa domkach i szałasach,

kolo palących się nieustannie ognisk, spędzają
z końmi długą zimę. Łatwo na śniegu dają się
polować wilki, lisy, czasem brunatne niedźwie-
dzie. W mroźne, zimowe dni dobiega zewsząd
miarowy głos pił. Padają w śnieg podcięte tuż
nad ziemią sosny i świerki. Zdzierają wprawne
ręce korę ze zwalonych pni, przeryniają wpo-
przek raz jeszcze u szczytu nagie piszczele
drzew. Cienkie gałęzie i kora układane są czę-
sto na miejscu w kopce, z których powoli z pod-
palonego wnętrza wycieka smoła. Łagodnie, ma-
łe, wytrzymałe koniki ciągną szybko po gład-
kim, śnieżnym kobiercu naładowane materia-
łem drzewnym szerokie sanie. Najbliższa rzeka
położona jest najdalej 3—5 klm. od miejsca
cięcia. Gęstą siecią przecinające kraj rzeki i stru-
mienię, ścięte są w tym czasie w grubą lodową
powłokę. Wyrastają na ich powierzchni oraz
daleko, wzdłuż wybrzeży, nieprzeliczone masy
martwego, białego drzewa.

Nastaje wreszcie czas ciepły. Wyptywające z gór
rzeki, o stosunkowo krótkim, a szybkim spad-
ku, zaczynają najpierw u ujścia, niedaleko mor-
skich wybrzeży, uwalniać się od lodu. Szerokie,
głębokie jednocześnie doliny, utrzymują masy
wód, nie powodując wylewów. Śniegi spływają
zewsząd, wody rosną coraz bardziej, podnoszą
się w górę tafle jeziorne. Ze wszystkich boc-

Ryc. 33.



Fot
Sigfrid
Iohansson.

Dolina lodowcowa, tak zwana »Brama Lapończyków« nad jeziorem Torneträsk.

nych i głównych przez las płynących rzek i strumieni suną masy drzewa. Ruchomy pomost kryje wodną powierzchnię. Uzbrojeni w długie pręty, stają wzdłuż brzegów drwale, kierujący spławem. Każdej wiosny ponad 80 milionów kłoców odbywa drogę do morza, przewyższającą $4\frac{1}{2}$ raza długość linii kolejowych szwedzkich. Z gwałtowną siłą rwie drzewo przez wodospady, zaledwo dostrzegalnym ruchem sunie przez jeziora, by gromadzić się w nieprzebranych masach u ujścia. Utworzony w jednym miejscu zator jest kłęską tysięcy, to też spław drzewa jest sprawą, obchodzącą wszystkich w sposób jednakowy. Udoskonalono go czasem, udostępniono kosztem wielu milionów miejsca trudne i niebezpieczne.

Jednym z największych portów drzewnych nad Bałtykiem, na wybrzeżu Norlandji, jest Kramfors. Przy wejściu do fjordu urządzony jest punkt zborny dla milionów spływających z góry kłoców. Na wodzie kołyszają się, umocowane linami, setki pomostów, na których stoją ludzie z długimi drągami. Gdy kłoc drewniany zbliża się z wodą, ludzie rozpoznają zdaleka na każdym z nich znaki, wskazujące ich właścicieli. Pchnięciem drąga wpychają każdy kłoc do osobnej przegrody, skąd już osobno płyną one dalej ku ujściu sortowni, gdzie maszyny wiążą je w olbrzymie paczki po kilkadziesiąt sztuk i holują do tartaków.

Cisza leśna, szum wodospadów pozostały daleko. Z Kramfors dobiega niemilknięcy dniem i nocą miarowy, rytmiczny odgłos życia fabryk i warsztatów. Wielkie, regularnością swoją przypominające domki z kart miasto, równo przyciętych sągów desek, rośnie każdego roku na pobrzeżu z zatrważającą szybkością. Siła, wydartą wodospadom, na prąd elektryczny zmieniona, kraje drzewo, zmienia w fabrykach odpadki i materiał drobny na celulozę. Związane rzekami z morzem lasy szwedzkie, płyną w zmienionej postaci na dalekie krańce kuli ziemskiej: do Australji, Nowej Zelandji, Ameryki Północnej, Anglii, Niemiec...

W LAPONJI.

Na przestrzeni sześciu stopni szerokości geograficznej od Upsali po Biegunowe koło, krajobraz Szwecji Północnej niewielkim ulega zmianom. Jego istotą jest las, a rysem naczelnym przestrzeń. Bór, torfowiska, rzeki i jeziora powtarza-

ją się ciągle, jak gdyby te same. Jest jednak coś, co w drodze na północ, zmienia niepostrzeżenie świat wokół. Czarodziejem tym jest światło. W czasie miesięcy letnich ziemia po drugiej stronie biegunowego koła zwrócona jest nieustannie ku słońcu. Tylko jego promienie długą do Bieguna odbywają drogę, nie biją, tak jak na południu, pełnym, oślepiającym blaskiem. Światło białych nocy, to niby silniej rozpalona poświata księżycy, to jasność ogromna, płynąca z zaświatów. Widać wszystko dokładnie, jak w dzień, a jednak świat cały jest inny. Od wody, śniegów i lodów płyną nowe, przyćmione blaski, inną jest głębia leśna, wyższe, bardziej tajemnicze górskie masywy. Przeżyć białą noc, to zobaczyć nigdy przedtem nieogładane tony.

Obliczono, że kraje polarne w ciągu 56 dni otrzymują więcej światła, niż jakiekolwiek miejsce na ziemi; a w ciągu 84 dni więcej, niż okolice równika.

Gdzież się podziewa ciepło tej powodzi świetlnej? Naczelnym rysem północy są przeciwieństwa: po trzymiesięcznym dniu, następuje dziewięćmiesięczna, nieustanna noc. Jej to zawdzięcza Laponja przepastne swoje śniegi, jej lodowe, potężne czapy, jej do kilku metrów głęboko przez większą część roku zmarzniętą ziemię. Całe niemal ciepło letniego dnia wchłaniają śniegi i lody. Po upływie trzech miesięcy wolne od ich uścisków są rzeki, jeziora i doliny, na zboczach górskich i szczytach widnieją wszędzie jeszcze białe ich plamy. Olbrzymia masa letniego ciepła nie wystarcza do stopienia całej, na lód i śnieg zmienionej wody. Temperatura dnia nie może też nigdy podnieść się zbyt wysoko.

Srogość dziewięćmiesięcznej zimy potęgują góry. Dźwigają się na zachodzie Laponji ponad 2000 m., około 1000 m. nad granicę wiecznego śniegu. Nad lądem i morzem królują najwyższe ich szczyty. Lodowce, dawniejsze i dzisiejsze, podcięły stromymi ścianami ich wierzchołki, odrzynając je od nieskończoną dal wokół biegnących, niższych, łagodnych fiordów. Od tych wysoczyzn dmie mroźną wichurą, tam rodzą się huragany, wydymające Atlantyk, tam śniegi i lody nigdy nie giną, trwając niezmiennie przez długi, letni dzień.

Krótkie są tygodnie w Laponji, podczas których średnia temperatura dnia podnosi się powy



Fot.
Eneret Julius
Brekke.

Najwyższe pasma górskie, wyrzeźbione miejscami lodowcami w okolicy Narwik.

żej 0°. Ziemia, skuta lodem przez większą część roku, pozbawiona jest wilgoci tak, jak suche piaski Sahary. Szalejące wiatry oczyszczają powietrze z resztek pary wodnej. Jedynie w czasie krótkiego lata drobne deszcze trwają długo, a gęste mgły całymi nieraz tygodniami spowijają ziemię, chłonąc życiodajne promienie słoneczne.

Każda też żywa istota, która chce żyć w Laponji, przejść musi egzamin przed surową komisją, w której zasiadają długotrwałe mroki, mróz, wiatr, a przewodniczy zima. Wiele roślin Skandynawskiego półwyspu nie może przestąpić tego progu. Lipa i buk zatrzymały się już przedtem daleko, na samym południowym cyplu; dąb z pszenicą dotarły po linię Upsali; granicy Laponji nie mogą przekroczyć wysokopienne drzewa szpilkowe. Pierwszy zatrzymuje się świerk, potrzebuje on bowiem do swego bytowania 65-ciu dni o temperaturze 12,5°, a lato w Laponji jest krótsze. Sośnie wystarcza 26 dni o 17°; nikiel, wydłużone, jak strzała, pojedyncze jej drzewa posuwają się też o krok dalej na północ. Najodważniejsza jest brzoza; pozbawiona konkurentów, króluje tu sama. Zmieniła się tylko jej postać, przygięła ku ziemi. Rozwijając swoje listowie tylko w czasie krótkich miesięcy lata, nie może wystrzelić w wysokie drzewo. Choć sędziwa wiekiem, posiada cienki, powyginany pień, niewiele wyższy

od człowieka. Nieznosząca cienia, tworzy luźne, prześwietlone laski, zarastające wszystkie doliny w Laponji.

Olbrzymie masy wody, spadające w huczących wodospadach, przelewające się w wielkich rzekach, płyną wolno po szerokich dolinach, okolonych powoli wznoszącymi się, łagodnymi zboczami fieldów. Co rusz zatrzymują się one w bezruchu, przeświecając spokojnym, cichem, wielkim niekiedy zwierciadłem. Mchy w niezliczonej ilości gatunków zajmują pobrzeża. Króluje wśród nich torfowiec, chłonąc wodę i wypełniając nieraz grząskiem mokradłem całą wodną powierzchnię.

Nieprzeliczone roje komarów lęgną się wśród tych trzęsawisk, chmurami unosząc się nad wodami.

Miło jest wtedy wyjść w górę na fieldy. W Laponji niema dróg. Ale zato, świat cały, jasny we dnie i w nocy, jest z każdego miejsca wokół otwarty. Przez rzadkie brzożowe laski idzie się, jak w parku. Omijając mokradła, w każdej chwili wyjść można na wyższe odsłonięte miejsca, z których widać daleko. Niskie, krzaczaste, o zdrewniałych łodygach i małych listkach rośliny pokrywają ziemię. Najwięcej wśród nich jest małej, przyziemnej, karłowatej brzozy (*Betula nana* L.). O okrągłych listeczkach, tułąc się do ziemi, nie przypomina swych wysokich białokorych siostr. A między nią, delikatne, jak



RENY.

mgielki, zwisają różowo-liljowe dzwoneczki zimnoziola północnego (*Linnaea borealis* L.), lub czerwienieją jagody małego, lapońskiego derenia (*Cornus suecica* L.).

Brzozowe gaje podchodzą nie wysoko na wygładzone zbocza fieldów. W żlebach, gdzie woda spływa z góry, bujają miejscami wysokie, kwiatne ziołorośla. Powyżej w zakłęśnościach zalegają już śniegi, lub grożą niekiedy lodowe czapy. Na zboczach, ponad granicą lasu, zraszana nieustannie topniejącą wodą, przyłgnęła do ziemi tundra. Najmniejsza, o dwóch okrągłych listkach wierzba nibyzielna (*Salix herbacea* L.) wchodzi całymi skłonami aż na szczyty. W miejscach, gdzie skalna opoka zasobniejsza jest w wapno, zdumiewa wśród tych pustkowi mnogość kwiecica: bieleje dębik ośmiopłatkowy (*Dryas octopetala* L.), czerwienieje skalnica mchowata (*Saxifraga bryoides* L.), złocą się jaskry (*Ranunculus*), kołyszą delikatne, ciemne kłosa turzyc (*Carex*). Chłuszczą nieustannie wichury kwiatne kobierce, wrywają ziemię pod ich stopami, zadają liściom i kwiatom rany. Pionierzy życia na tych wysokościach w czasie krótkich chwil lata roztaczają blaski kwiecica, urągające potędze wiatru, zimy i długotrwałych ciemności.

RENY.

Kilkaset lat temu reny żyły w Laponji tak dziko, jak wilki, lisy i niedźwiedzie. Czuły się

zawsze najlepiej na wielkich, otwartych przestrzeniach wśród śniegów i lodów. Gdy niegdyś lodowiec sunął z gór skandynawskich na południe, szły przed nim wielkimi stadami, gdy potem tajać zaczął, cofnęły się z nim razem na północ. Wolą widać surową, mroźną północ, niż rozkwiecione, południowe gaje.

Przeraźliwie długa jest noc polarna w Laponji, straszliwe zimno, spadające wtenczas poniżej 20°. Reny, pokryte długim, niezmiernie gęstym włosem, zdają się tego nie odczuwać. W zimie w większe tylko skupiają się gromady, schodząc niżej w prześwietlony brzozowy, bądź sosnowy bór. W czasie spokojnych, bezwietrznych, szczególnie mroźnych dni, gdy krew w żyłach zdaje się krzepnąć, zbijają się razem po kilkadziesiąt sztuk, nie ruszając się zupełnie, grzeją się własnym swem ciepłem. Para wodna, powstała z ich oddechów, spowija całe stado białą mgłą, niby gęstym, ciepłym welonem. Na dnie lasu warstwa śniegu nie zalega nigdy we wszystkich miejscowościach równie głęboko. Mocnemi, łopatowanemi nogami dostać się można do uspioonej ziemi, pokrytej najmniej od życia wymagającymi, licznymi gatunkami porostów. Pod grubym całunem śnieżnym są one żywe, miękkie i świeże. Miarowy, cichy chrzęst, rozlegający się po borze, to stada renów, przebiegające wielkie nieraz przestrzenie, w poszukiwaniu w czasie nocy polarnej strzępów pożywienia na dnie lasu.



STADA RENÓW.

Niedźwiedzie śpią oddawna w swych gawrach, na reny czyha straszniejsze od głodu i mrozu niebezpieczeństwo: wilki. Przebiegłe drapieżce rzucają się ławą; czujność i szybki bieg są jedynym ratunkiem renów. Strach tworzy organizacje. Stary ren, przodownik stada, na 600 kroków czujący niebezpieczeństwo, pierwszy daje hasło. Na białych, śnieżnych całunach rozgrywa się walka o życie.

Po długich miesiącach oczekiwania wstaje wreszcie brzask. Krótkie chwile kwietniowych, słonecznych promieni, topią śniegi na południowych zboczach górskich. Noc ścina je znów lodem, tworząc szklistą powłokę. Żywiołem renów jest wolna przestrzeń, pierwsze błyski dnia są hasłem do opuszczenia borów. Wychodzą na ich skraj, w pas widnych zarośli karłowatej brzozy. Gdzeniedzie, na dźwigających się wokół nagich zboczach, widać wśród śniegów czarniejące, wywiane wiatrem miejsca. Tam skupiają się reny, wygrzebując z ziemi skąpą, obumarłą roślinność. Wolą być o głodzie wśród pustych dalekich obszarów, niż pędzić nadal życie wśród lasów.

Mimo coraz dłuższego dnia zima w Laponii króluje przez całą wiosnę. Tymczasem czas nagli, nie wystarczy żyć samemu, trzeba się troszczyć o przyszłe pokolenie. Reny-matki w połowie maja opuszczają stado i ciągną im tylko wiadomą drogą, poprzez łańcuchy górskie, pękające lody i szumiące lawiny na zachód. Tam

nad brzegiem morza, owiane ciepłem Golfstromu, zasłonięte górami od wschodu i północy, zieleńią już łąki. Małe reny kołysze w czasie pierwszych tygodni życia ciepły zachodni dech.

Samotne samce pozostają na wschodzie wśród śniegów i lodów. W ich oczach otwierają się topieliska torfowisk, a na zboczach nagle, bujnie zakwita tundra. Szerokimi, głęboko rozciętemi racicami przebywać mogą grząskie mokradła. Niema dla nich przeszkód; wielkie, o lodowatej wodzie jeziora przebywają wplaw. Soczyste ziołorośla i karłowata tundra dostarczają wszędzie pokarmu. Nastaje krótki czas dobrobytu. Niżej, wśród bagien nieznośne komary nie dają spokoju, w górze, wśród śniegów, jest zawsze najlepiej. W zagłębieniach, blisko szczytów, gdzie śnieg całe lato zalega, szukają reny w ciepłe dni wytchnienia. Trwożliwe zazwyczaj, ze śniegu uciekają niechętnie. Wynędzniały zimowy ich wygląd znikł oddawna, łagodne spojrzenie nabrało pewności i mocy, pod skórą gromadzi się zwolna zapas tłuszczu na zimę. W drugiej połowie lipca całe stado spotyka się znowu. Jeszcze miesiąc pozostał beztroskiego bytowania na fieldach.

Szybko we wrześniu zapada noc, powoli, ociągając się, opuszczają reny pola śnieżne, wysłonecznione tak niedawno dale i suną wielkimi gromadami poprzez góry na wschód, między lasy.

LAPOŃCZYCY.

Niewiadomo, kiedy zjawili się nad morzem i rzekami w Laponji. Mali, śniadzi, o okrągłych twarzach, wystających kościach policzkowych i nieco skośnych, dobrych, śmiejących się oczach. Mowę przejęli od sąsiednich Finnów. Zrazu trzymali się tylko wody, żywiąc się rybami i upolowanym niedaleko wybrzeży zwierzem. Tam pobudowali drewniane, niskie zagrody. W głąb leśną i na tundrę zwabiły ich reny. Stało się to powoli. Z początkiem każdej zimy szli ich śladami coraz dalej w głąb lasów i gór. By te płochliwe i łagodne zwierzęta łatwiej zwabić ku sobie, przebiegli Lapończycy chwyтали żywe, młode jagnięta. Stare reny, przewyciężając strach, zbliżały się wtedy do samych niemal zagród. Tam padały, ugodzone strzałą łowcy. Zdarzało się niekiedy, że małe jagnięta przyzwyczajaly się do człowieka, pozwalaly się zaprzęgać do sań i towarzyszyć mu w drodze. Przeważnie jednak pozostawały trwożliwe i uciekały w las. Nie bały się odtąd tylko

Lapończyków tak, jak dawniej. Z czasem niepostrzeżenie dostały się pod ich władzę, nie tracąc jednak niemal nic ze swojej swobody.

Z nastaniem wiosny ciągną reny, po dziś dzień, tak jak dawniej, ze wschodu na zachód, na fieldey. Temi samymi szlakami idą za nimi niepostrzeżenie Lapończycy. Bez dróg i przewodników, poprzez lasy i zasypane śniegiem bagniska, człowiek kieruje się śladem zwierza. Drogowskaz ten nie zawodzi nigdy. Te same gromady renów wybierają zawsze te same ścieżynki, zajmując od prawieków te same górskie masywy. Cichym jakimś układem, rozparcelowały reny góry między siebie.

W taki sam sposób żyjący nad morzem i rzekami ludzie rozdzielili między sobą gromady renów. Każde większe osiedle stało się właścicielem innego na swobodzie żyjącego stada, innej temsamem połaci gór. Człowiek związał swoje życie z życiem renów i dostał się za ich przewodem z lasów między wieczne śniegi i lodowce.

Ze wsi wyruszają wiosną za renami zwykle nie sami właściciele stad, ale ich pasterze z żonami i dziećmi. Proste, niskie sanice, załadowane skórami i skromnymi zapasami, ciągną psy lub reny.

Za nimi posuwają się, barwnie ubrani, zdaleka na śniegu widoczni, Lapończycy. Grube, czarne ich odzienie przybrane jest czerwonymi i pomarańczowymi naszywkami. Czapka zakończona jest wielkim czerwonym kutasem. W dni mroźne kładą kozuchy ze skór renifera. Niema w Laponji dróg, niema mostów na szerokich, wartkich rzekach. Lodowato-zimną wodę przechodzić trzeba wbród, całą siłą opierając się gwałtownym wirom wśród bloków skalnych. Coraz dłuższy dzień, poświetlone coraz bardziej zarośla karłowatej brzozy, nie pozwalają zgubić wydeptanych przez reny śladów. Wędrówka kończy się ponad górną granicą lasu. Nad spokojną jeziorną tonią rozkładają Lapończycy zazwyczaj letnie namioty. Wierne reny przyprowadzają ich zawsze w te same doliny, gdzie odnajdują opuszczone w roku zeszłym szalasy. Nieodstępna towarzyszka, brzoza karłowata, oplata wieńcem sterczące wokół, śniegiem pokryte, nagie szczyty. Z jej cienkich, giętkich pni budują Lapończycy namioty. Ziemią obsypują drewniane rusztowanie, wewnątrz wyściełają wszystko miękkimi skórami renów. Do



Ryc. 37.

Przed namiotem lapońskim.

wnętrza prowadzą niskie drzwi, zasłonięte skórą. U stropu wisi często z brzozonej kory wycięta kołyska z mocno w skóry spowitem dziecięciem. Obok tej chaty znajduje się zwykle na podniesieniu z bali niskie poddasze na zapasy. Zaczyna się kilkomiesięczne letnie bytowanie, spędzane w nieustannej jasności. Nad renami czuwają Lapończycy zdaleka, wiedząc zgóry, gdzie obrały sobie pastwiska. Wśród pękających wiosną lodów, nie mogą ustrzec ich nieraz od niebezpieczeństwa. Ileż to razy pędząca z hukiem lawina grzebie pod sobą dziesiątki tych zwierząt, ileż ich ginie w pękających głębokimi rysami lodowcach! Niema na to ratunku, człowiek nie może stawić czoła potęgom północy.

Podobnie jak reny, sam o siebie troszczyć się musi. Długie godziny spędzać trzeba na jeziorze, by wyłowić dość ryb na wyżywienie tych, co zostali w namiocie. Cierpliwie trzeba się skradać w zaroślach w połowie za zwierzem. Już z końcem maja wzbijają się z torfowisk komary gęstą chmurą. Jak dobrze wyjść wtedy z przepojonych ciepłymi oparami brzozonych gajów na szczyty, gdzie świszcze wiatr, tuli się do ziemi rozkwiecona tundra, a w dali, gdzie tylko okiem sięgnąć, między wiecznymi śniegami, wśród jasnego, zielonego brzozonego gaju, srebrzą się wokół większe i mniejsze oka jeziorne. Wielkie przestrzenie są potrzebne, by na jałowych torfowiskach i tundrze mogły reny znaleźć dość pożywienia. Daleko od siebie żyją pojedyncze ich stada, rzadko też rozrzucone są obozowiska człowieka.

W całej Laponji, zajmującej 19.880 km.², żyje zaledwo 1700 Lapończyków, utrzymujących się wyłącznie niemal z renów.

Pod koniec krótkiego, północnego lata, gdy czerwienieje tundra, a noc zaczyna szybko następować, panuje w letnich osiedlach ruch niezwykły. Człowiek zabiera zwierzętom należną sobie daninę. Część szczególnie dobrze wyglą-

dających renów zostaje wybrana ze stad i przeznaczona na rzeź. Smaczne mięso nie tylko dostarcza pokarmu na zimę, ale jest sprzedawane daleko. Skóry służą za posłanie i odzienie. Z sierści przędzone są zimową porą grube tkaniny, z kości wyrzynane są łyżki i noże, zdobione delikatnymi wzorami.

Od pierwszych dni września Laponja zmienia się niemal w oczach. Niebo i jeziora toną w głębszych szafirowych tonach. Wierzchołki gór pokrywa biały szron i świeże śniegi. Delikatne listowie brzozonych gai prześwieca jasnością bursztynu. Świeża, rozkwiecona doniedawna tundra, przebłyskuje zewsząd krwistą czerwinią. W promieniach ustępującego dnia i zapalającej się nocą zorzy polarnej, goreje ziemia. Reny i ludzie opuszczają wtedy góry, żegnają dzień na długie zimowe miesiące i wracają do swych zagród, między lasy.

Przed niedawnym jeszcze czasem, najczęstszymi gośćmi Lapończyka były niedźwiedzie i wilki. Rzadko kiedy trafiał obcy człowiek w te bezdroża. Jeśli kiedy zapukał do lapońskiej chaty, wiedział, że nigdzie bezpieczniejszego nie znajdzie schronienia. Gość dostawał zawsze najlepsze miejsce i najlepszą strawę. Spać mógł spokojnie, wiedząc, że w tym kraju nie znają co to przywłaszczyć sobie rzecz cudzą.

Dziś zmieniło się nieco w Laponji. Pociąg elektryczny, wiozący bezcenne kruszce, przeciął te krainy. Piękno lodowych szczytów, jezior i białych nocy, zwabiło rzesze turystów. W coraz dalszych i niedostępniejszych górach żyją Lapończycy, tak, jak przed wiekami. Blżej morza położone wsie dostały szwedzkie szkoły, które przenoszą naukę z wiosną w góry. W namiotach Lapończyków znalazły się kupione od przybyszów szyby okienne, maszynki, żelazka. Nie zmienił się tylko tryb ich życia; związani z renami, spędzają z nimi, tak jak dawniej, większą część swego życia.

ANIELA KOZŁOWSKA

Z PIŚMIENNICTWA

»POLSKI SŁOWNIK BIOGRAFICZNY«. Nakład Polskiej Akad. Umiejętności. Kraków 1935.

Na rynku księgarskim ukazał się pierwszy zeszyt tomu I Polskiego Słownika Biograficznego. Od A do Andronicus. Wydawnictwo podzielono na pojedyncze tomy, z których

każdy o 480 stronicach druku w dwóch szpaltach, zawierający 5 zeszytów, będzie się ukazywał w odstępach rocznych. Całość obejmie 20 tomów. Skład redakcji w osobach: redaktora Władysława Konopczyńskiego i szeregu najwybitniejszych sił naukowych, oraz Rady Słownika, do której wchodzi kilkunastu przedstawicieli Polskiej

Akademii Umiejętności i innych Towarzystw naukowych, daje rękojmię wszechstronnego wyzyskania całego znanego dziś i dostępnego nam biograficznego materiału źródłowego. Ma to szczególne znaczenie przy odtwarzaniu sylwetek ludzi, działających w okresie wczesnego i późniejszego średniowiecza polskiego. W tym wypadku wiadomości biograficzne, oparte na danych, znajdujących się w zespolach aktowych, pozwalają usunąć wiele błędnych informacji, które się utrzymały do dziś dzięki niedostatecznej znajomości naszej spuścizny archiwalnej. Wydawnictwo Słownika Biograficznego właśnie w dużej mierze korzysta z tego rodzaju materiału, mieszczącego się w Metryce Koronnej, Aktach sądowych ziemskich i grodzkich, archiwach djecejalnych, kapitulnych i t. p. Zaprojektowano około 20.000 biografij, uszeregowanych w porządku alfabetycznym od A—Z. W myśl zapowiedzi redakcji, opisywać one będą osoby nieżyjące, które odegrały czynną rolę w polskim życiu państwowym i narodowym w każdorazowych Państwa Polskiego granicach (w okresie porobiorowym, w granicach przedrobiorowych, aż do traktatów granicznych, zawartych przez Rzeczpospolitą odbudowaną). Znajdą się wśród nich rów-

nież życiorysy Polaków czynnych w środowiskach obcych, o ile nie ulegli całkowicie wynarodowieniu. Słownik po-
cia także wiadomości o osobach, które przez wzgląd na swoje pochodzenie kwalifikują się do umieszczenia w wydawnictwach tego typu, innych narodów, ale omawiać będzie tylko ich działalność ze strony uczestnictwa w sprawach narodu i Państwa Polskiego. Umieszczane przy końcu opisu każdego życiorysu wskazówki bibliograficzne, podając ostatnie opracowania monograficzne, odsyłają do źródeł informacji i ułatwiają możliwość dokładniejszego zapoznania się z osobą przedstawianą.

Podjęte wydawnictwo wypełnia lukę w naszej literaturze ścisłej, szczególnie odczuwaną przez historyków, heraldyków i krajoznawców. Przeznaczone do wzbogacenia polskich pomocy naukowych, oparte na zasadach wydawniczych, przyjętych w Europie zachodniej, odda nieocenione usługi wszystkim poszukującym ścisłych i krytycznych informacji biograficznych, szczególnie zaś będzie pomocne tym badaczom regionalnym, którzy pracują często-
kroć w dużym oddaleniu od centrów, grupujących większe zasoby biblioteczne i archiwalne.

JERZY FRANKENSTEIN

BIBLIOGRAFJA KRAJOZNAWSTWA POLSKIEGO

(Według »Urzędowego Wykazu Druków wydanych w Rzeczypospolitej Polskiej«. Druki zarejestrowane w Bibliotece Narodowej od 23 grudnia 1934 r. do 5 stycznia 1935 r. Nr 48 — 1).

PRZYRODA POLSKI.

Antropologia.

STOJANOWSKI KAROL. Typy kranjologiczne Wielkopolski. Poznań 1934. Nakł. Instytut Zachodnio-Słowiański przy Uniw. Poznańskim, s. 66.

Botanika.

DANOWSKA-KRAWIECOWA ANIELA. Glony jeziora Kociołek. Poznań 1934. Nakł. Poznańskie Tow. Przyjaciół Nauk. Z zasilku Min. W. R. i O. P., s. 36.

Geografia.

GALON RAJMUND. Dolina Dolnej Wisły, jej kształt i rozwój na tle budowy Dolnego Powiśla. Z 9 ryc. i mapą. Poznań 1934. Z zasilku Senatu Akademickiego Uniw. Poznańskiego, s. 111, 2 nlb., mapa 1.

Hydrografia.

KĘDZIOR ANDRZEJ, inż. W sprawie trwałego zabezpieczenia doliny Wisły i jej dopływów przed powodzią. Kraków 1934, s. 82, 1 nlb.

Meteorologia.

GORCZYŃSKI WŁADYSŁAW. Szkic historyczny rozwoju meteorologii w Polsce od wieku XIII-go do r. 1919. Warszawa 1934, s. 32.

KULTURA POLSKI.

Etnografia.

MIKUTA MARJAN. Dożynki. Inscenizacja obrzędu ludowego. Kraków 1934. Wyd. Małop. Związek Teatrów i Chórów Ludowych, s. 35, 1 nlb.

Językoznawstwo.

MAŁECKI MIECZYSLAW, NITSCH KAZIMIERZ. Atlas językowy polskiego Podkarpacia. Cz. 1: mapy. Cz. 2: Wstęp. Objaśnienia. Wykazy wyrazów. Kraków 1934. Nakł. Polska Akademia Umiejętności. Z zas. Funduszu Kultury Narodowej, s. 4 nlb., map 500; cz. 2: s. 112.

Podróże i opisy.

BORKOWSKI JANUSZ, STĘPKOWSKI STEFAN. 12.000 mil morskich na »Darze Pomorza«. Warszawa 1935. Wyd. »Zorza«, s. 63, 1 nlb.

TURYSTYKA.

Narciarstwo.

INFORMACYJNY KALENDARZ narciarski na sezon 1934/35. Rok wyd. 7. Kraków 1934. Wyd. Polski Związek Narciarski, s. 181, 1 nlb.

PRZEWODNIK narciarza po Krzemieńcu i okolicach. Praca zbiorowa. Krzemieniec 1935. Nakł. Zjednoczenie Organizacji Społecznych pow. Krzemienieckiego, s. 63.

Turystyka.

NASZ PIERWSZY ROK. Związek Propagandy Turystycznej m. st. Warszawy 1934. Warszawa 1935, s. 2 nlb., 34, 1 nlb.

ROCZNIK KOMUNIKACYJNY 1933/1934. Oprac. na podstawie źródeł urzędowych Ministerstwa Komunikacji. Wydawnictwa r. 3. Warszawa 1934, s. 566, 1 mapa + kalendarz, s. 2 nlb.

WYSTAWA SZOPKI I MATERJAŁÓW ETNOGRAFICZNYCH OKRESU BOŻEGO NARODZENIA W POLSCE.

W salach Miejskiego Muzeum Przemysłu Artystycznego we Lwowie odbyła się przez styczeń—luty wystawa szopki i materiałów etnograficznych do zwyczajów ludowych okresu Bożego Narodzenia w Polsce, zorganizowana z inicjatywy Oddziału Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego we Lwowie. Dała ona fragmentaryczny obraz obrzędowości ludowej okresu świąt Bożego Narodzenia w Polsce. Materiał ilustracyjny pozwalał miłośnikom zwyczajów i obrzędów ludowych zapoznać się z nimi w różnorodnych objawach. Do najciekawszych należały szopki góralskie na Orawie, wystawione przez prof. J. Pieniżkę, dobre zdjęcia fotograficzne najstarszych jasełek z XIV w. w kościele św. Andrzeja w Krakowie, dalej rysunki Andriollego, Fałata, Pocięchy, Eismonda, Norblina, Stasiaka (olej) i wielu innych artystów.

Pieczyno świąteczne, reprezentowane przez staropolską struclę, w czwórkę plecioną, leżącą na stole, zasłanym białym obrusem, i oplatki ze Lwowa i Krakowskiego wprowadzały poniekąd nastroj świąteczny. Opodał wiszący różnobarwny kwiat z oplatek, wyłącznie polska ozdoba, i stojące w kątach sali snopy zboża, przynoszące domowi wiejskiemu błogosławieństwo Boże i szczęście dla przyszłych żniw, przypominały wieczór wigilijny. Znalazły się tutaj i prawdziwe pierniki toruńskie, oparte na wzorach ludowych. Podziwiać można było piękne, piernikowe wizerunki królewskie (portrety) Zygmunta III Wazę i jego żony Anny, Władysława IV, Cecylii Renaty; o tych piernikach oraz o pieczęci królewskiej wiemy, że były wykonane z racji zaślubin królewskich. Nie brak było i pierników lwowskich, jak lukrowanych gwiazd, obkładanych barwną cynfolją lub obsypywanych kolorowym makiem serc, jeźdźców i t. p. Są one wykonywane po dziś dzień przez specjalistów podmiejskich i sprzedawane w kramach świątecznych na rynku lwowskim. Specjaliści od tych pierników przywędrowali dawniej z Krakowa i Kąt i posiadają u siebie zapas starych form do pieczenia, ale ich wszystkich nie używają, bo — jak jeden z nich się wyraził — »niema już dla kogo piec, nie oplaca się«.

Podziwiania godne były nadesłane eksponaty z Łowicza przez p. Anielę Chmielińską. Pięknie wykonany duży pająk ze słomek i nanizanych na nich czerwonych płatków bibuły chwiał się za lekkim poruszeniem powietrza i sprawiał dla wielu widzów wrażenie świecznika. Obok ciekawa gwiazda łowicka, zrobiona z dwóch sklejonych teksturowych płaszczyzn. Po obu stronach były na niej naklejone wycinanki. Rogi gwiazd ozdobione skręconymi wąskimi skrawkami papieru i kłosami żyta. W środku gwiazdy kilkunastocentymetrowy patyk, naokoło którego może się ona obracać. Gwiazda ta nie może być oświetlona, tak jak inne gwiazdy, posiadające szkielet z patyków. Pająk z okolic Lwowa i Tarnopola przedstawiał się odmiennie. Był to ziemniak, z którego wychodziło 12 słomek



Ryc. 38 Ogólny widok sali wystawowej.

(Z lewej — szopki krakowskie, z prawej — stylizowane Państwowej Szkoły Technicznej, pośrodku — noworoczny koń ze słomy).

zboża, na które nawleczone były gwiazdki z bibuły kolorowej (Jaworów). Inny znów pająk posiadał formę, złożoną z ośmiościanów (samych krawędzi) ze słomek, owiniętych cienką bibułą.

Zwyczaj chodzenia z gwiazdą znalazł swój wyraz w rozmaitych gwiazdach, nadesłanych z Krakowskiego, okolic Lwowa i Podola. Jedne były ruchome i obracały się na poziomo ustawionej osi. Inne były nieruchomo osadzone na drążku. Niektóre gwiazdy, jak z Krakowskiego i z okolic Równego, miały misternie wycinane ornamenty, transparentowo przeświecające. Gwiazda z okolic Tarnopola (Jablonna, pow. Kopyczyńce) posiadała wewnątrz figurki, wycięte z papieru, które, obracając się na poziomej płaszczyźnie, rzucały cienie na ściany gwiazdy.

Nieznaną dla innych części Polski bania, jest powszechnie znana w okolicach Lwowa i dalej na wschód. Szkielet bani jest zrobiony z obręczy przetaka (sita), oblepiony bibułą białą i czerwoną, ma na sobie papierowe figurki pasterzy, a głównie liczbę Nowego Roku. Niektóre banie mają u góry cztery rogi i są ozdobione papierowymi łańcuszkami. Wewnątrz bani świeci się świeczka. Banie są umieszczone na wysokim drążku, stale i nieruchomo. Niektóre mogą się obracać.

Na wystawie znalazły się także znamienne dla zwyczajów ludowych z okresu świąt Bożego Narodzenia postaci zwierząt, jak turoń z Sądeczчины, z okolic Rabki, koza z pod Lwowa, bocian i duży koń noworoczny ze słomy (Nowosielce, pow. Bobrecki). Zwyczaje te, to szczątki prastarych obrzędów pogańskich, praktykowanych w celu uzyskania większej płodności ziemi. Stąd też znane przysłowie: »gdzie koza (turoń) przychodzi, tam się żytko rodzi«. Turoń, to kołędnik, trzymający na wysokim kijku głowę bydłęcia z drzewa, obciążoną kosmatą skórą. Oczy czerwone, a na głowie czarne rogi, paszcza ruchoma kłapie zębami białymi (z gwoździków tapicer-

skich) za każdym poruszeniem sznurka. Turoń, nakryty płachtą lub dużym kozuchem, wzbudza obawę nie tylko u dzieci, ale i młodzieży — ale tylko na chwilę. Tak ubrany Turoń (jak objaśnia katabas) w towarzystwie innych kołędników, brząkając łańcuchem i oświecony lartarką, podchodzi do chaty. Otwierają się drzwi i gospodyni zaprasza do środka. Turoń tańczy przy muzyce skrzypiec i basów. Spuszczony z łańcucha, wyprawia harce i plata pocieszne figle. Otrzymawszy datek, odchodzi z towarzystwem. Po nim zwykle zbliżają się szopkarze (Krakowskie). W wielu okolicach przy wprowadzaniu turonia chłopcy śpiewają odpowiednie pieśni o »Turoniu«.

Zwyczaj chodzenia z bocianem pielęgnuje lud wiejski w wigilję Nowego Roku. Chłopcy przebierają się za bociana, który w towarzystwie innych postaci, jak niedźwiedzia, kozy lub konia, wchodzi do izby i kłuje dziobem obecnych. Zazwyczaj koń jest drewniany, ubrany w papierowe ozdoby i czasem z powróseł ze słomy.

Nagromadzone na Wystawie szopki w ilości około 30 z rozmaitych stron Polski ilustrowały zwyczaj chodzenia z jasełkami. Można było oglądać szopki od najprymitywniejszej do najbogatszej w pomysły ludowej wyobraźni, czy też artystyczne. Co do wielkości, to niektóre (Krakowskie) były wysokie ponad 2 m. 50 cm., szerokie 50 cm. i długie do 2 m. Do najpiękniejszych należała szopka z XVII w., wykonana przez Dorotę Daniłowiczównę, księżę klasztoru pp. Benedyktynkę łacińskich, ciotkę króla Jana Sobieskiego. Figurki, wykonane artystycznie z wosku, ubrane w szaty stylowe, znajdują się wśród zieleni drzew na tle skalnej groty. Wodotryski i zwierciadła, zwierzęta (jeleni z różkami owada jelonka) i kwiaty uzupełniają tę pomyslową szopkę z epoki baroku. Jedną z figur ma przedstawiać królową Marię Kazimierę. Następnie zwracają uwagę: szopka składana w działu rady powiatowej Związku Teatrów i Chórów Ludowych w Krośnie, dwie duże szopki krakowskie, własność Związku Teatr. i Ch. Lud. we Lwowie i szopka krakowska, wykonana według wzoru szopki, znajdującej się w Muzeum Etnograficznym w Krakowie. Zasadniczą cechą tych szopek, jak i innych, są trzy wieże, z których środkowa uwieńczona jest bizantyńską kopułą. Dwie pozostałe wzorowane są na gotyckich wieżach kościoła Marjackiego w Krakowie. Szopki wyklejone są barwnym papierem. Przeważa kolor jasno czerwony i niebieski. Front ozdobiony wycinkami.

W szopkach krakowskich można zauważyć dwie zasadnicze kondygnacje. W górnej części Boże Narodzenie, na ganku pasterze i orkiestra grająca i orszak Trzech Króli. W dolnej części właściwa scenka, w której wycięta jedna lub dwie szczeliny do przesuwania w nich figurek. Figurki, wyrzeźbione z drzewa, ubrane w barwne materje, utwierdzone są na długich patykach lub drutach. Niektóre lalki posiadają dodatkowe druty, służące do poruszania rąk i głowy. W wieżach szopki płoną świece. Przód szopki dołem zasłonięty czerwonym płótnem, za którym ukryty zręczny szopkarz porusza figurkami. W każdej większej szopce oprócz Heroda, śmierci, djabła w stroju niemieckim i pasterzy musi być krakowiak, krakowianka, kozak, czarownica z maślniczką, żyd i dziad z torebką

na kiju i dzwonkiem. Odmiennie przedstawiają się szopki lwowskie. Jedną z r. 1934, wykonaną przez murarza, ma wygląd dworku podmiejskiego, na podmurowaniu, zbudowana z belek (patyków) brzoźowych i kryta słomianą strzechą. Przy szopce studnia z żórawiem, buda dla psa i gołębnik w szczytowej ścianie dachu. Mnóstwo figur wyciętych z papieru wyraża Boże Narodzenie, ucieczkę do Egiptu i zwiastowanie przez anioła radosnej nowiny pasterzom. Drugą szopka lwowska 1914 r. o trzech wieżach, u góry połączonych, oklejona jest czerwonym papierem, naśladowującym mur z cegieł (ulubiony kolor szopkarzy lwowskich), i trzcina, jakiej używają murarze przy wyprawianiu sufitu. W wieżach na dole i piętrze obracają się figurki papierowe. Świece nie palą się wewnątrz wież, lecz poza nimi, z tyłu szopki. Szopka wołyńska z okolic Równego, to prosta drewniana chałupa wiejska, pokryta strzechą słomianą, jaką spotyka się na Wołyniu. Z boku wycięte okienka, wewnątrz żłóbek z Jezuskiem z wosku (prymitywnie ulepionym) i ozdoby papierowe sklepowe. Wewnątrz szopki wycięta długa wąska szpara do przesuwania kukielek. Kukielki ze szmatek, ubrane bez pretensji w mało barwne gałganki, dają zupełny obraz fantazji ludowej. Przedstawiają Heroda, Barbarkę, czarownicę, myśliwego ze strzelbą, djabła opasane łańcuchem, turonia, białą i chudą śmierć, dziada i t. p. Szopka z Mazowsza (z Łęczycy), to domek z dykty z dachem dwuokapowym, zamykany od frontu drzwiami o dwóch skrzydłach. Wewnątrz papierowe sklepowe figurki, ustawione amfiteatralnie. Kukielki również ze starych szmatek o różnorodnym wyglądzie. Szopka z okolic Łańcuta przypomina swoją budową szeroką kapliczkę przydrożną, okrytą strzechą. Figurki, rzeźbione z drzewa i olejną farbą pomalowane, zwracają uwagę swoją prostotą i naiwnością.

Dział szopek wzbogaciły szopki artystyczne, oparte na motywach ludowych, niektóre prawdziwie piękne i oryginalne. Do takich należą: szopka wykonana przez art. mal. Janinę Petry Przybylską, szopka stylowa z r. 1914 (bizantyńska), misternie wykonana przez St. Św., przypominająca architekturą Daleki Wschód, dalej szopka Żywiecka o trzech wieżach, dzieło artysty malarza Witolda Florkiewicza, i figury góralskiej szopki z Zakopanego, wykonane w r. 1914 przez rzeźbiarza górala Jana Rykałę, i wreszcie trzy oryginalne szopki, pięknie stylizowane przez uczniów państwowej szkoły technicznej we Lwowie (Wydział Zdobniczy i Przem. Art. oddział tekstylny), Rudnicką-Winnicką i Habingera-Dębickiego, oraz poważny i bardzo piękny projekt szopki dekoracyjnej prof. Józefa Starzyńskiego, artysty rzeźbiarza. Wystawa także i pod względem artystycznym przedstawiała się korzystnie. Dekoracją sal i ułożeniem estetycznym eksponatów zajęła się art. mal. p. Janina Petry Przybylska.

Wystawa wzbudziła zainteresowanie. Podkreślić należy życzliwe stanowisko prasy lwowskiej, nieszczędzącej poparcia swego dla wystawy. Za wprowadzenie w czyn tej trudnej imprezy i za wydanie katalogu z cennymi objaśnieniami należą się Oddziałowi Lwowskiemu Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego słowa uznania.

(—)